Rok VI. 23 Września 1934. Nr. 39

DZWONECZEK

Dwór Królowej Wisły.

Powódź, która nawiedziła tego lata ziemie polskie, przypomniała ludziom mnóstwo pozapominanych nazw rzek i rzeczułek górskich, przywołała na pamięć liczne dopływy Wisły, tej rzek polskich królowej. Zwykle nie bywają one groźne, ale z chwilą, gdy po długich lub gwałtownych ulewach wody ich wezbrane wyleją, stają się żywiołem zniszczenia, jakiego świadkiem właśnie kraj nasz był codopiero i którego ofiarom śpieszymy z pomocą.

Oto poemat znakomitej naszej poetki, Jadwigi Łuszczewskiej, znanej pod imieniem „Deotywa" (zmarłej w Warszawie 25 lat temu), która właśnie w pięknych obrazach przedstawia, niby dwór królowej, przeróżne dopływy Wisły.

Pierwszy z gromadki radosnej młodzieży, pusty swawolnik w swej białej czamarce, z tysiącem pstrągów, dzwoniących u pasa, *Prądnik,* jak rzeźki krakowiaczek, hasa. Młodziuchna *Nida,* podobna kwieciarce, biegnie przez łąki i do swych wybrzeży, jak do koszyka, zsypuje wiązanki ze złotej ruty, bzu i macierzanki. Biegną *Dunajce,* dwaj bracia górale, z okiem myśliwskiem i zwinnością gończą: jeden z nich w *Białe* okręca się fale, drugi się *Czarną* owinął opończą. Za nimi lekko idzie modrooka, brzeg płaszcza Wisły niosąca *Wisłoka.*

A teraz patrzcie! idzie mąż wspaniały, *San,* groźny rycerz, który srebrną dzidą druzgocze lasy i przebija skały; po jego falach echa Karpat idą. *Tanew,* ukryta po cień borów kruczy, w głębi puszcz szumnych jak wyrocznia huczy. Dalej w dolinie wijąca się kręto, od tataraków swoich jezior wonna, w więzach z kamieni żali się *Kamionna;* zda się, że słyszysz królewnę zaklętą. Między zdumiałym, rozstąpionym tłumem, tancerka ledwie tykająca ziemi, *Bystrzyca* pląsa stopami bystremi. Za nią, poważna, szafirowolica, idzie jak cicha kapłanka, *Pilica.*

A teraz z drogi! Oto z wielkim szumem nadchodzi *Narew,* cała upowita w płaszcz tkany złotem, ciemnoszmaragdowy, Narew tak dumna, że gdy Wisłę wita, zarzuca ciemny fałd opony swojej na modrą suknię, co spływa z królowej Jakiż to kmiotek goni dumną księżnę? A wszak to brat jej, wesoły ów żeniec, *Bug* kłosonośny. Codziennie on w wieniec statków ładownych pszenicą się stroi; wiecznie na wodach wyprawia okrężne.

Tam *Bzura* dźwiga szaty obciążone kiściami pereł, nosi krucze włosy perłami spięte i z pereł koronę. Tam wre i szumi wartkolotna *Drwęca,* która w winnice i róże i kłosy kwitnące czoła swych brzegów okręca. *Brda* jak wąż srebrny uśpiony na niwie pod siecią gajów cicho się pierścieni. *Osa* pod słońcem zapala błyskliwe fale podobne do białych płomieni.

Zajrzyjmy dalej Kto stopy przysunie nad mórz północnych wybrzeża żółtawe, ujrzy na straży posępną *Motławę* i radującą się wiecznie *Radunię,* co jak odźwierne w progu Wisły strzegą bram bursztynowych morza Bałtyckiego. I one dzisiaj tu idą i niosą klucze błyszczącą wysadzone rosą. Te wodne bóstwa jasne i złowieszcze ku Wiśle dążą, z nimi inne jeszcze, i jeszcze inne, lecz któż je wyliczy? Księgęby spisał, kto wiernemi farby chciałby malować cały dwór lenniczy, niosący Wiśle swoje wierne skarby.



Anibyście zgadli co przedstawia ten obrazek. Jedno tylko odrazu poznacie z fotografji, że to harcerze. Tak jest, gromadka harcerzy w liczbie trzydziestu przybyła z wschodnich kresów Polski, aż z nad Buga, do Gdyni u brzegów polskiego Bałtyku. Nacieszyli się widokiem naszego morza i mimo, że przyjechali tam na wakacje, zabrali się do pracy. Nikt ich do niej nie zapędzał, a jednak po 6 godzin dziennie pracowali wszyscy ciężko. Dobrowolnie ofiarowali swoje usługi. Gdy się dowiecie komu, zawoła z was każdy, że na ich miejscu postąpiłby tak samo. Oto nad tym gdyńskim portem handlowym i wojennym, który na piaskach nadmorskich w ciągu lat kilku wyrósł niespodziewanie i zdumiewa cudzoziemców, przybywających tam okrętami, ma stanąć na szczycie Kamiennej Góry wspaniała świątynia: bazylika morska pod wezwaniem Gwiazdy Morza, jak nazywamy Bogurodzicę, a Polski Królowę Niebieską. Przepiękny projekt tego kościoła olbrzymiego u wrót Polski, otwartych na świat cały przez morza i oceany, dał architekt Pniewski. Koszt budowy wyniesie 7 miljonów zł. Kto może składa na to ofiarę. I taką właśnie ofiarę z własnej pracy przy kopaniu fundamentów i przenoszeniu materjałów budowlanych, złożyli ci harcerze z nad Buga, których na zdjęciu widzimy przy robocie. Wszak harcerz polski w myśl swoich przykazań służy Bogu i Jego Matce Najświętszej obyczajem starym ojców.

SIWEK.

Takich koni jak Siwek mało jest na świecie. Poczciwości bydlę, czysty przyjaciel, a mądry jakby nie zwierzę. Za Frankiem łaził jak pies w pole; dosyć było, żeby gospodarz ustami nań zacmokał, a Siwek natychmiast przystawał, choćby w największym pędzie. Kiedy zaś chłop świsnął, koń wtedy cwałem ruszał. Siwkowi można było położyć na grzbiecie sukmanę, przytroczyć wiązkę drzewa; on to wszystko niósł spokojnie, nie będąc wcale prowadzonym na uździe. Nosił też za gospodynią czy za gospodarzem zawieszony na szyi koszyk, motykę, rydel lub inny jaki sprzęt gospodarski. Bardzo mądra była owa szkapa.

Rzec można, Siwek należał do rodziny Franków. Właził do izby, a dzieci — wszystko maleństwo — rzucały się ku niemu; każde z nich chciało choćby dotknąć ukochanego Siwusia. Jedno chwytało go za ogon, drugie za łeb, inne za grzywę, za nogi, on zaś stał cierpliwie i z pobłażliwością niejako szlachetnego człowieka znosił naprzykrzanie się częstokroć bardzo natrętnych malców.

W chłopskim bycie o pieszczoty trudno, nawet tkliwsza miłość wyraża się tu często grubem słowem, albo i przez uderzenie w kark lub uszczypnięcie. Siwka jednakże wszyscy jakoś pieścili. „Mój Siwusiu“ — wołał ten i ów dzieciak, przytulając do końskiego ciała swoją białą główkę o lnianych włosach, a Siwuś stał w izbie, przebierał nogami, powiewał ogonem, parskał, obwąchiwał dzieci po kolei, przyglądał się im, zachodził nawet do najmniejszego chłopaka w kołysce. I to bobo także uśmiechało się do konika, wyciągało ku niemu pulchne a oślinione rączęta.

Wyobraźcie sobie, że ta szkapa nigdy przez swego pana nie była pobudzaną ani biczem ani prętem; głos ludzki rozumiał koń jak człowiek; pod wierzchem i w zaprzęgu żadne chłopskie bydlę Siwkowi nie wyrównało. Miał minę gęstą, łeb zadzierał do góry, spoglądał buńczucznie, a nogami przebierał jakby zręczny parobek w tańcu.

Chodził sobie Siwek samopas po świecie, a przecież nigdy go ze szkody nie zajęto, jakkolwiek lubił owies, koniczynę i tym podobne końskie smakołyki. Nie bez tego było, że od czasu do czasu zalazło to uczciwe bydlę i na cudze pole, ażeby i tutaj użyć darów Bożych. Wszakże zwierzę może być szlachetne, a nie mieć wyobrażenia o tem, co to są kopce graniczne. Kiedy więc sobie Siwek nieraz pozwolił bobrować po cudzej niwie lub łące, właściciele paszy zarządzali obławę, aby zająć szkodnika. Atoli koń zawsze w sam raz zwąchał pismo nosem i wtedy zadzierał do góry swój ogon, kładł uszy po szyi, a zmykał takim krokiem, jaki odpowiadał stopniowi niebezpieczeństwa...

Przychodziły ciężkie chwile na rodzinę Franków, poprostu gęby czem zatkać nie było. Wówczas to pochudli — chłop, jego kobieta, dzieci, no i Siwkowi też boki zapadły. Konie płacono dobrze i Franek mógłby się wydobyć z biedy, gdyby sprzedał Siwka. Ale jak tu sprzedać takiego przyjaciela...

Z głodem niema żartów — więc z bólem serca, a opłakanego łzami całej rodziny, poprowadził Franek Siwka na jarmark. Chłop był smutny, koń też stracił zwykłą sobie ochotę.

Na jarmarku wszyscy chwalili „śwarną szkapę“. Franek postawił wysoką cenę. Był taki, co się poznał na cnocie konia i na cenę przystał. Już, już Franek miał odebrać pieniądze, kiedy naraz spojrzy, a tu Siwek odwrócił ku niemu głowę, nastawił uszy i bystro oraz wymownie spojrzał w oczy swemu gospodarzowi.

Takie spojrzenie końskie było już nad siły chłopa. O włos nie ryknął z żałości... Pieniędzy nie przyjął od kupca i sam głodny powrócił ze Siwkiem do chałupy między mrące z głodu dzieci.

(Z pism Adolfa Dygasińskiego).

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy).

Dziś wiem już, że taksamo jak w Brazylji, uprawia się ziemię w leśnych okolicach Peru i Ekwadoru, Kolumbji i Boliwji, wogóle wszędzie, gdzie Ameryka Południowa obfituje w lasy dziewicze. Nie wszędzie jednak jest urodzaj tak pewny, jak w Palmalu ekwadorskim, w którym nietylko miejscowi zakładają sobie plantacje różnych cennych roślin zwrotnikowych, ale gdzie nawet sąsiedzi z posusznego Peru wynajmują wielkie obszary leśne w tym celu. Tu nigdy niema długiej posuchy, bo deszcze padają prawie cały rok,

więc na gruncie przygotowanym pod plantacje po wycięciu lasu daje świetne plony tytoń i banan w najdoskonalszym gatunku, podobnie jak ryż i kawa, jak fasola i kukurydza.

Ale po kupieniu kilku czy kilkunastu morgów lasu, czeka kolonistę praca stokroć cięższa niźli nasza orka z wołami po polu choćby kamienistem. Łatwo powiedzieć: wytnie las, posieje i plon będzie zbierał znakomity. Zapewne. Ale kto nie widział lasów dziewiczych w Ameryce, ten nie może mieć pojęcia o tem, co to znaczy puszczę taką wykarczować. To nie polski las. Tu drzewo jedno w drugie to olbrzym. Nie dość tego, bo jeszcze każde z tych drzew nietylko potężnemi konarami trzyma się niby za ręce z sąsiadami, ale jeszcze sto ljan jakby mocnemi linami powiązało pnie z pniami, korony z koronami, i wszystko splątało, zgmatwało tak strasznie, że niema sposobu wyciąć jednego drzewa, ponieważ musi się wraz z niem pociągnąć i całe otoczenie. Toteż nic straszniejszego nad ten widok walących się w puszczy dziewiczej drzew olbrzymich, siekierami podciętych.

Nie dość, że człowiek musi tyle się namozolić, zwłaszcza gdy trzeba dla drwala stawiać rusztowanie karkołomne, by ciąć siekierą w miejsce nie tak grube, jak przy ziemi, ale co za mnóstwo nieszczęść musi się dziać podczas wycinania lasu w takich okolicznościach; ile razy człowieka na śmierć przywalą te olbrzymy, przewracające się z hukiem jedne przez drugie na ziemię... Sam widziałem i pewnie w życiu nigdy nie zapomnę tej okropnej chwili, gdy w Paranie kum mego ojca i nawet daleki krewny mojej matki, Jacenty Kopeć, zginął zmiażdżony olbrzymem puszczy. Zanim przystąpi się do cięcia samych drzew, trzeba przecież wyrżnąć potworny gąszcz, stanowiący podszycie leśne. Do tego służy wielki nóż, zwany machete. Potem dopiero po krzakach zabiera się z siekierą do drzew mniejszych, do młodzieży leśnej, a nakoniec dopiero do kolosów, nad któremi napoci się najdłużej.

Niepodobna opisać wrażenia, jakie sprawia puszcza dziewicza z chwilą skończenia tych ciężkich robót, kiedy ani kroku nie zrobi człowiek wśród chaosu drzew powalonych i gmatwaniny gałęzi tysięcznych, ljanami splątanych niemożliwie. Kolonista dokonawszy tego dzieła, zostawia swoje przyszłe pole na kilka miesięcy własnemu losowi. Czeka, aż liście i cieńsze gałęzie wyschną. Więc rozpacz go bierze, gdy właśnie wtedy deszcz pada dzień za dniem. Jemu było trzeba na tych kilka miesięcy suszy, gdy mu bowiem dopisze słoneczna pogoda, wycina on wszystkie konary i gałęzie, gromadzi je w wielkie stosy — i podpala. O ile zatem materjał był suchy, ogień wszystko łatwo strawi i pole pod uprawę oczyści. Zostaną jedynie pnie najgrubsze, które dopiero zczasem pod wpływem deszczów długotrwałych zgniją i spróchnieją. Ich nikt z roli nie usuwa, lecz już do siejby przystępuje. Jeżeli jednak ciągłe deszcze moczyły świeże ścięte drzewa, plantator nie może mieć nadziei na dobre wypalenie gałęzi na popiół, a tensamem na należyte oczyszczenie roli, z której musi wtedy z nieopisanym trudem uprzątać masy mokrych konarów i gałęzi na brzegi swoich pól. *C. d. n.*

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Szarada.

Pierwsze-drugie woła dziecię,
W rzece z rybą mieszka *trzecie*.
Wszystko z brzegu rośnie w stawie,
Chłopcom służy ku zabawie.